NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 35 Katowice, dnia 7-go września 1930

Na Niedzielę trzynastą po Świątkach

Lekcja.

Galat. III. 16—22.

Bracia! Abrahamowi opowiedziane są obietnice i nasienie jego. Nie mówi: i nasieniom, jakoby w wielu, ale jako w jednem: i nasieniu twojemu, który jest Chrystus. A to powiadam, testamentu przedtem od Boga utwierdzonego, zakon który po czterechset i trzydzieści lat dan jest, nie wątli ku zepsowaniu obietnicy. Albowiem jeśliż z zakonu dziedzictwo, już nie z obietnicy; lecz Abrahamowi przez obietnicę Bóg darował. Cóż tedy zakon? Postanowiony jest dla występków, ażby przyszło nasienie, któremu obiecał rozrządzony przez anioły w ręce pośrednika. A pośrednik nie jestci jednego, lecz Bóg jeden jest. Zakon tedy przeciwko obietnicom Bożym? Nie daj Boże! albowiem gdyby był dan zakon, któryby mógł ożywiać, prawdziwieby z zakonu była sprawiedliwość. Ale pismo zamknęło wszystko pod grzechem, aby obietnica z wiary Jezusa Chrystusa była dana wierzącym.

Ewangelja.

Łuk. XVII. 11 —19.

W on czas: Gdy szedł Jezus do Jeruzalem, szedł środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli mu dziesięć mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka i podnieśli głos, mówiąc: Jezusie Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Które gdy ujrzał, rzekł: Idźcie, okażcie się Kapłanom. I stało się gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich gdy obaczył, że był uzdrowion, wrócił się głosem wielkim chwaląc Boga, i padł na oblicze u nóg jego, dziękując; a ten był Samarytanin. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: Azaż nie dziesięć jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? Nie jest naleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, bo wiara twoja ciebie uzdrowiła.

Żywot św. Wawrzyńca Justiniani patryarchy

5 września.

Wawrzyniec urodził się w roku 1381 w Wenecji z rodziców wysokiego rodu. Matka dała mu staranne wychowanie. Już jako młody chłopczyk odznaczał się niezwykłą powagą, stateczności, małomownością, i chętniej garnął się do doroślejszych, aniżeli do rówienników. Rodzicielkę jego niemało to trapiło. Widzą w jego postępowaniu ukrytą dumę i ambicję, zachęcała go do pokory. Wawrzyniec pocieszał ją z uśmiechem: „Nie lękaj się, kochana mamo, jednę tylko mam ambicję, t. j. pragnę zostać znakomitym sługą Bożym". Do tego celu skierowane były wszystkie jego myśli i życzenia, ale wkrótce nadeszły dni próby i pokusy, miał iść w świat i poznać szkołę życia. Nęcił go blask świata arystokratycznego, dostojność rodziny, z której pochodził, jej bogactwa i dostatki, sława przodków, powaby ziemskich rozrywek, hołdy ludu. Ale w sercu jego odzywał się głos przestrzegający: „Unikaj świata, kłamie on, a jego świetne obietnice okażą się złudnemi i zwodniczemi".

Tę walkę duszy opisuje on sam w następnych słowach: „Idąc za przykładem innych paniczów, szukałem uspokojenia w rozrywkach światowych i nie znalazłem go. W tem pojawiła mi się Dziewica jaśniejsza nad słońce, a nieznana mi z nazwiska. Odezwała się do mnie w te słowa: „Miły młodzieńcze, po cóż się trudzisz i szukasz uspokojenia w tym świecie i rozkoszach jego? Znajdziesz ją tylko u Mnie". Gdy ją pytałem o nazwisko i stan, odpowiedziała: „Jestem mądrością Bożą i stałam się człowiekiem, aby ludzi wybawić". Gdym się zgodził na Jej żądanie, złożyła pocałunek na mym czole i znikła".

Zachwycony tem zjawiskiem Wawrzyniec zasięgnął rady swego wuja Maryna, pobożnego kapłana zgromadzenia kanoników regularnych i objawił mu życzenie wstąpienia do tego zakonu Mąż ten, uwzględniając młode lata i słabość młodzieńca, radził mu, aby tymczasowo uczynił próbę i nie zmieniając w niczem ani odzieży, ani sposobu życia, nałożył na siebie cokolwiek umartwienia. Wawrzyniec nakładł krew w swe łoże i zaczął pościć i modlić się. Dowiedziawszy się o tem matka jego, radziła mu pojąć za żonę urodziwą szlachciankę. Stawiony na rozdrożu, tak opisuje swe położenie Wawrzyniec: „Z jednej strony czekały mnie zaszczyty, dostatek, życie w znakomitem towarzystwie, ponęty życia rodzinnego i rozlicznych rozkoszy, z drugiej stanęła przed oczyma memi samotność, posty i ubóstwo. Zapytałem samego siebie: Cóż poczniesz Wawrzyńcze? Czyż poważysz się to uczynić, a tamtem wzgardzić? Obawa ogarnęła dusze moją

ukląkłem przed krucyfiksem i westchnąłem: O Boże, Tyś nadzieją moją a krzyż Twój jedyną mą ucieczką. Stanowczo postanowiłem się opuścić matkę, rodzeństwo, świat i rozkosze jego i wstąpić do stanu duchownego. „Za zgodą wuja przyodział habit kanoników regularnych.

Mimo młodości i delikatnego zdrowia zachowywał jak najściślej wszystkie przepisy reguły zakonnej i pościł, biczował się, czuwał i milczał tak surowo, że przełożeni musieli mu nakazać umiarkowanie. Dowód bohaterskiej cierpliwości złożył zaraz w początkach swego pobytu w zakonie, gdy na gardle wyrznął mu się wrzód nader niebezpieczny, wymagający operacyi. Męki przecinania i przepalania znosił tak mężnie i cierpliwie, że tylko raz zawołał: „Panie Jezu!“ Nigdy nie wychodził z murów klasztornych, chyba za jałmużną. Wtedy z pokorą dawniejszy szlachcic i magnat zwiedzał najludniejsze ulice z miechem na plecach i prosił o chleb, wystawiając się na szyderstwa, urągowiska i pogardę motłochu. Przybywszy do domu ojca prosił o jałmużnę, tak jak gdzie indziej, ale nigdy do domu nie wchodził, lecz stawał w bramie, jak nieznany przybysz. Matka płakała za każdą razą ze wzruszenia i często chciała napełnić cały miech, ale Wawrzyniec nie przyjmował więcej, jak dwa bochenki chleba i odchodził z podziękowaniem. Raz tylko wszedł do domu rodziców, gdy matka śmiertelnie zachorowała, aby umierającą pocieszyć. Wyświęcony na kapłana, miewał codziennie Mszą z jak największym namaszczeniem, rzadko bez łez w oczach, najczęściej w zachwyceniu. Gdy go zmuszono do przyjęcia urzędu przeora, pełnił obowiązki przełożonego z sumiennością troskliwej matki. Pewnego razu wydarzyło się, że jeden z braci zakonnych publicznie na kapitule zarzucił mu przestąpienie którejś z reguł zakonnych. Wawrzyniec byłby się mógł łatwo uniewinnić, ale po krótkim namyśle wstąpił na środek sali obrad, uklęknął i ze złożonemi rękoma prosił o przebaczenie. Ta pokora tak mocno wzruszyła oskarżyciela, że uklęknąwszy przed Świętym, poświadczył niewinność jego i przyznał się do kłamstwa.

Mądrość i cnoty jego cenił zakon tak wysoko, że wybrał go za swego jenerała. Obowiązki tego urzędu pełnił tak sumiennie i ściśle, a przy tem tak zręcznie i gorliwie, i zaprowadzał tak znaczne ulepszenia, że zakwitło po klasztorach nowe życie, a jego uważano za drugiego założyciela zakonu. Im lękliwiej unikał zaszczytów kościelnych, tym więcej jaśniały jego wysokie zdolności i zalety, a sława ich rozeszła się wkrótce tak szybko, że papież Epugeni IV. zamianował go w r. 1433 Biskupem weneckim, mimo że Wawrzyniec i bracia zakonni pokornie Ojca św. prosili, aby go zostawiono w klasztorze.

Wawrzyniec udał się po cichu do Wenecji, aby unikać uroczystego przyjęcia i prosił Boga w kościele całą noc o błogosławieństwo dla siebie i trzody swej. W biskupim pałacu zachował ubóstwo klasztorne i całą surowość pokuty. Gdy mu wspomniano, że przecież winien pewne względy swemu szlacheckiemu pochodzeniu, swej godności i rzeczypospolitej weneckiej, odpowiedział: „Ozdobą biskupa jest ubóstwo, a rodzina moja, t. j. ubodzy, których winienem żywić, jest tak liczną, że to co mi pozostaje, nie starczy na wspaniałe występy“. Dobroczynność jego była niesłychaną i bardzo mądrą. Nie lubił dawać pieniędzy, lecz rozmaite artykuły żywności, a te z wielką delikatnością posyłał ubogim przez pobożne panie, znające potrzebujących pomocy.

Zamożny krewny prosił go raz, aby się przyczynił do wyposażenia idącej za mąż córki jego. „Mój kochany“, odpowiedział mu Wawrzyniec. „jeśli Ci dam mało, nie wiele Ci pomogę, jeśli wiele, to okradnę biednych, majątek bowiem zebrany z kościoła jest dla nich przeznaczony, a nie na fryzurę i wyprawę narzeczonej“.

Z wielką ofiarnością, roztropnością i energją starał się o chwałę Bożą i zbawienie wiernych. zniósł nadużycia, ulepszył porządek i solenność nabożeństwa pobudował wiele nowych kościołów, założył piętnaście klasztorów i kilka zakładów dla podupadłych moralnie. Śmiało i ostro ganił w liście pasterskim niezmierny zbytek w ubiorach kobiecych. Wszczęły się stąd wielkie hałasy między damami, a kilku senatorów nie sromało się żalić przed dożą (rządzcą) na wtrącanie się księży w sprawy ich nie obchodzące. Doża, mąż zapalczywy, wezwał go do siebie i złajał go sromotnie. Wawrzyniec wytłómaczył się tak łagodnie i przekonywająco, że doża zawołał ze łzami w oczach: „Czcigodny biskupie, pełń swobodnie obowiązki Twego urzędu!“

Świadectwem głębokiej jego nauki są pisma jego. Wysokie jego wykształcenie połączone z pokorą czyniło go zdolnym do czynienia znakomitych przysług nie tylko ludowi i znamienitym rodzinom, ale nawet i samej rzeczypospolitej weneckiej. Uznawali to namiestnicy Chrystusa w Rzymie. Eugeni IV. nazwał go ozdobą episkopatu, a Mikołaj V. wyniósł go na godność patryarchy. Lubo Wawrzyniec zaszedł w lata i zapadać zaczął na zdrowiu, w niczem nie zmienił surowość postu i umartwień ciała. Gdy mu ciężka febra dokuczała, chciano go wraz z siennikiem przenieść na łoże. Ale temu się oparł, mówiąc: „Cóż to, na puchu mam leżeć? To jest dla książąt, nie dla mnie. Zbawiciel nasz umarł na drewnianym krzyżu“. Gdy krewni mu w chorobie przynosili różne przysmaki, wzdychał na ten zbytek. „Wszystko to dla mnie“, wołał. Czemże ja jestem? Schowajcie to raczej dla biednych i chorych“. Nadeszła nareszcie ostatnia godzina. Pokrzepiony chlebem żywota czule się z obecnymi pożegnał, pobłogosławił ich i dyecezyan i oddał Bogu ducha dnia 8 stycznia 1455 roku. Ponieważ pomiędzy zakonem i Wenecją wszczęły się spory o jego zwłoki, pogrzeb zwlókł się o sześćdziesiąt ośm dni. Ciało wcale się nie psuło, członki były giętkie, rumieniec krasił lica i usta; zapach rozchodził się po komnacie, gdzie leżało wystawione ciało, niezliczone tłumy ludu schodziły się do jego pałacu, przysłuchując się śpiewom nadziemskich duchów i dziwiąc się rozlicznym zmarłego cudom. Papież Klemens VII. zaliczył go do błogosławionych w r. 1524, a Aleksander III w r. 1690 do Świętych.

M. Sadoveanu.

Ten, który przebaczył

Zdarzyło się, że w Zielone Świątki musiałem przenocować w pustelni Bourlui. Po wieczerzy opowiadał pustelnik Antoni o zdarzeniu, którego pewnej burzliwej nocy zimowej pustelnia była widownią. W mołdawskich lasach na zboczach gór była tu jedna tylko pustelnia.

Opowiadał ze spokojem, jak o starem zapomnianem wydarzeniu. Komuż miałby tę historję opowiadać, gdy tu nikt nie zabłądzi podczas burzliwych nocy zimowych lub podczas roztopów wiosennych. Wtedy siedzi sam zatopiony w myślach i wspomnieniach, które w pamięci czas zaciera, tak iż w końcu znikają jak pianka morska, jak bańki mydlane. Atoli nagle ziemia i lasy budzą się po długim śnie do życia. Gdzie była śnieżysta dziewicza powłoka, pojawia się zieleń, w zacienionych wąwozach leśnych szumią wodospady, w powietrzu, przesyconem światłem słońca nucą skowronki. Wytwarza się nowy krąg życia, w którego środku stoi pustelnia Pańska. Takiego wiosennego wieczora, kiedy poprzez zasłony okna pustelni wiatr wnosi woń fiolków upojną, budzą się w duszy pustelnika sny i wydarzenia zapomniane.

Czcigodnego ojca Antoniego zawiały nieraz burze śniegowe w pustelni. Czterdzieści lat życia ascetycznego pochyliły go ku ziemi, blaski jego oczu zgasły. Stał się pustelnikiem już dawno, odkąd doznał w życiu strasznego zawodu.

Gdy był jeszcze pełnym życia młodzieńcem, zapaliła mu serce miłość do dziewczęcia z naszej wsi Wiszory. Miłość to była jedynem jego bogactwem, żył nią i budował na niej nadzieje. I nagle wszystko to przepadło. Stara, zwykła historja. Bogatemu, mieszkającemu w sąsiedztwie gospodarzowi nie było trudnem zabałamucić dziewczynę, a jeszcze łatwiej przyszło mu pozbyć się sprzykrzonej zabawki. Obcęgami żelaznemi los zgniósł Antoniemu serce.

Rok mijał po roku, a rana się nie zabliźniała i habit mnicha nie dał mu uspokojenia od lat tedy żyje w pustelni, jako asceta, w mroku cienistych buków.

Właśnie w zeszłym roku, w wigilję Bożego Narodzenia — opowiada spokojnie, — rozpoczęła się zawieja śnieżna. Byłem sam z młodym bratem lajkiem, zdrowym chłopakiem. Siedziałem w swej celi i wschłuchiwałem się w wycie wichury.

—O takiej porze nikt nie odważy się wyjść z domu. Rozmyślałem w celi o życiu świętych. Czytałem i myślałem o minionem życiu. Byłym prostym mnichem, ale w księgach znajdywałem błogoć i ciszę. Czy wiesz, czem jest wieczna samotność? oczekiwanie wieczne śmierci?

Ojciec Antoni spojrzał na mnie oczyma dobrotliwemi i nie śpiesząc się opowiadał dalej. Opowiadał jak śnieg, jak biała topiel zakryła jego pustelnię, jak potworzyły się wokół wały, które go jeszcze więcej od świata oddzieliły. Zmierzch nastąpił szybko. Wycie wichru stawało się coraz głośniejsze. Wyszedł ze swej celi. Wicher byłby go powalił o ziemię. Zawołał na braciszka Konstantyna, który wpół rozespany wszedł do celi z włosami rozwichrzonemi.

— Cóż stało się, ojcze?

— Nic szczególnego, Konstantynie. Dzwoń. Może w lesie zabłąkana jaka dusza chrześcijańska. Niech do nas znajdzie drogę.

Poszli obaj na niską dzwonnicę i wkrótce rozległ się czysty głos dzwonka. Dzwonili długo, aż ku północy dopóki wicher nie ustał i śnieg począł grubemi płatami padać. Do pustelni wnikał jęk tajemniczy lasu. Ojciec Antoni wsłuchiwał się w jęki te milcząco. Czy może rozróżniał w wichrze jakieś tony inne? Wyszedł bowiem z pustelni i jął nasłuchiwać uważnie. Zdawało się że noc sama woła. Na dworze stękały gałęzie i jęczał wicher.

Nagle z oddali doszedł głos ludzki, wołający o pomoc. Był to głos człowieka, który dobywał się jakby przemocą z gardzieli. Litość bezgraniczna zdjęła pustelnika. Pobiegł do pustelni.

— Konstanty, Konstanty... — wołał w pośpiechu.

— Cóż, ojcze?

— Zapal latarnię. Jakiś człowiek zabłąkał się w lesie i o pomoc woła.

Konstanty wytknął głowę z ciepłej celi, zamruczał coś pomiędzy zębami, poczem znikł, aby wziąć kożuch. Opasał się pasem i wcisnął czapkę głęboko na uszy. Potem zapalił latarnię i wyszedł uzbrojony w maczugę.

Mnich wsłuchiwał się w noc, uniosłszy rękę.

— Czy nie słyszysz?

— Nie słyszę nic.

— Unieś tylko czapę.

— Tak, teraz słyszę. I dodał: Ale z daleka.

— Głupstwo, czy może być daleko, kiedy głos w wichrze słyszymy? Bóg by cię karał gdybyś pozwolił wilkom zjeść chrześcijana!

— Czy może boisz się?

— Wcale nie...

— A więc naprzód. Ja będę dzwonił, abyś mógł trafić z powrotem.

Nowicjusz poszedł, a ojciec Antoni wszedł na dzwonnicę i dzwonił. Słyszał jak Konstanty wołał w lesie i jak mu zabłąkany jękami odpowiadał. Głos zdali stawał się coraz słabszym, znikło w lesie światło latarni, jak znika błędny ognik.

Atoli znowu głos Konstantego usłyszałem — opowiadał pustelnik dalej. — Zabłysło znowu światło jego latarni, a w końcu zawołał: Prowadzę, ojcze.

Zeszedłem w dół po stopniach. A gdyśmy go nieszczęśliwego do celi wprowadzili, oczyścili, poczęli nacierać śniegiem, aby go przywieść do przytomności, przy świetle latarni rozpoznałem w nim uwodziciela mej narzeczonej. Przyszedłszy do przytomności opowiadał nam jak zgubił sanie, konie i sam pozostał w lesie, nie wiedząc gdzie się znajduje.

— Ot cała historja — skończył pustelnik, a oczy jego były wilgotne.

— Czy ojca poznał?

— Nie, nie poznał. Trzy dni spędził u mnie, w mojem łóżku sypiał i przy moim stole jadał. Potem odjechał.

Pustelnik westchnął. Potem przystąpił do klęcznika, otwarł dużą księgę modlitewną i począł się modlić. Światło lampki przed obrazem Matki Bożej opromieniało mu głowę. A gdy później zwrócił się ku mnie, w oczach jego błyskał refleks pokoju.

Następnego poranka odprowadził mnie do bramy swej pustelni.

Brzozy jaśniały subtelną zielenią liścia. Jak kolumny śniegowe pięły się ku niebu ich białe pnie, wystające z ziemi traw. Szedłem w zaciszu leśnem, wśród świętej ciszy. Szedłem bezmyślnie i wystraszyłem się, gdy moją twarz musnęła gałązka brzozy.

I doszedł mnie dźwięczny głos dzwonka pustelnika, którego smętna dusza wspaniałomyślnie umiała przebaczać. Przede mną stanęła postać bladego pustelnika z cierpieniem w niebieskich oczach i z czołem pogodnem...

Drabinka Matki Boskiej

(Legenda bretońska).

Kiedy św. Piotr apostoł zakończył ziemską swą pielgrzymkę, wówczas wzamian za klucze Chrystusowe Kościoła, wręczył mu Bóg Ojciec klucze od rajskich podwoi, wiodących do Królestwa niebieskiego. Z całą właściwą sobie gorliwością wykonywał święty apostoł powierzone sobie obowiązki, wpuszczając do raju tylko dusze tych ludzi, którzy swem cnotliwem życiem na ziemi zasłużyli na wiekuiste szczęście. Taki był bowiem niezmienny wyrok najwyższego i najsprawiedliwszego Sędziego.

I przez długie lata spełniał św. Piotr dostojny swój urząd. Pewnego razu jednak przyszedł do Boga Ojca niezwykle wzruszony i całując skraj świetlistej Jego szaty, rzekł:

— Panie, zmiłuj się nade mną, lecz choćbym miał na gniew Twój się narazić, muszę Ci wyznać moje strapienie. Oto już od szeregu dni spostrzegłem w świętym Twym przybytku jakieś dusze, którym sam nie otwierałem bram nieba. Nie mogę sobie wytłumaczyć, jak się one tu dostały. Oblicza ich nawet różnią się znacznie od lic sprawiedliwych. Boję się, czy nie są to jakieś sztuczki szatana, bo i jego słudzy na wszystko, co najgorsze, są gotowi. Wiedząc jednak, że klucze są zawsze u mnie i że drugiego wejścia niema, nie przestaję martwić się i niepokoić.

— Obowiązkiem twoim jest czuwać u bram raju i na ciebie spada odpowiedzialność w tym względzie — odrzekł Najwyższy. — Uważaj lepiej na wszystkich nowych przybyszów, a przestaniesz widywać nieproszonych gości.

Upłynęło dni kilka i znowu apostoł przyszedł do Stworzyciela.

— Wielki, miłosierny Boże — rzekł — codziennie niemal tajnemi, niewiadomemi drogami przedzierają się do raju jakieś podejrzane dusze. Udaję się więc do Twojej mądrości i potęgi, sam bowiem jestem bezsilny, tak, że nie zaradzę złemu. Ty jeden, o Panie, jesteś wszechmocnym i wszechwidzącym.

Wtedy rzekł Bóg:

— Chodź ze mną, św. Piotrze. — Zwiedźmy razem wszystkie zakątki raju, a przekonamy się, w czem leży przyczyna zjawisk, które ci tak słusznie zakłócają spokój. Chodźmy.

Poszli więc obaj: na przodzie Pan świata, a za nim apostoł.

Długo chodzili tak, że nareszcie uczuli zmęczenie. Dotarli nakoniec do niewielkiego, oliwnego gaju, pomiędzy gałęziami spostrzegli, niebieską szatę. Zbliżyli się więc tam pocichutku i cóż ujrzeli? Oto na zielonej łączce, ubarwionej kwieciem, stała Najświętsza Marja Panna, i spoglądała w dół, w głąb stromego wąwozu, skąd było widać całą ziemię i wszystkich ludzi. W ręku Niepokalana Dziewica trzymała zaledwie widzialną drabinkę, utkaną z najcieńszego niebieskiego jedwabiu. Z głębi wąwozu dolatywały bolesne westchnienia, rzewne łkania i błagalne skargi. Najśw. Panna zaś co chwila spuszczała swoją drabinkę, która się rozwijała, spadała na dół i jedna za drugą wspinały się po niej blade, zbolałe, wychudłe postacie, mężczyzn i kobiet, aby zniknąć niebawem w rajskich ogrodach i gajach. Za kadą zaś zbawioną duszę Najśw. Panna wyciągała ku górze przecudne swe dłonie, wołając błagalnie:

— Panie mój i Boże! Ty wszystko wiesz, widzisz i słyszysz. W niewysłowionem swem miłosierdziu przebacz mi, że gwałcę mądre przepisy, rządzące najświętszem Twem królestwem. Ale jam żyła na ziemi i sama jestem Matką całej cierpiącej ludzkości! Przebacz mi więc, jeżeli zawiniłam... Wtedy położył Bóg Ojciec wszechmocną swą rękę na ramieniu św. Piotra apostoła i rzekł:

— Chodźmy stąd. Nie mamy tu nic do czynienia...

Prześladowanie religji w Rosji jeszcze nie ustało

W Moskwie na zakończenie 16-ej konferencji rosyjskiej partji komunistycznej puszczono z wybrzeża Kremlu na rzekę przeszło sto łodzi, ozdobionych latarniami papierowemi; na każdej z nich znajdowały się karykatury, ikony albo figury jakiegoś świętego lub świętej. Karykatury te przedstawiały świętych i duchowieństwo w bezwstydnych pozach, celem zdyskredytowania wiary chrześcijańskiej w oczach ludności. Szczególnie wróżniała się łódź, która dźwigała wielką karykaturę Papieża. Tę to łódź na środku rzeki wysadzono w powietrze a z głośników Kremla padały na tłum wołania: „To jest nasza odpowiedź Papieżowi, który chce zniszczyć państwo sowieckie...“

Do złotej księgi

Niema nad przykład stosowniejszego środka, by w duszy dziecka obudzić skłonność i pociąg do jakiegoś czynu, lub sposobu postępowania.

Setki rozkazów, tysiące pouczeń i napomnień nie dokażą tego, co jeden jedyny przykład. Niechże zatem każdy nauczyciel, każdy wychowawca, każdy ojciec, każda matka starają się dać dorby przykład ze siebie; bez dobrego przykładu wszystkie trudy nie wiele przynoszą owocu.

Ale nie tylko dobry przykład zapala, czyni to jeszcze prędzej zły przykład. Biada temu, kto zły przykład sieje! Jakie nieszczęście sprawia!

„Z jakim przestajesz, takim się stajesz“. Złe towarzystwa psują dobre obyczaje.

Dowód niezbity

Pewnie nikt nie słyszał krótszego i dosadniejszego kazania nad następujące: Jeden starszy kapelan więzienny mówił do swych uwięzionych „parafjan“: „Moi drodzy! Jakeście jeszcze przebywali na świecie, pewnie nieraz słyszeliście, jak wygadywano na religję, wiarę i przykazania; a kto wie, czy i wy sami nie braliście w tem udziału, a przynajmniej nie przytakiwali. W każdym razie, każdy z was bez wyjątku i niezawodnie przyzna, że gdybyście byli spełniali to, czego religja nauczy, bylibyście się tu (do więzienia) nigdy nie dostali. Amen!“